

WIKTOR HEILING.

Szafa pięknej Isotty.

Castellano, oprowadzający różnorodny towarzystwo po parku i zamku Montefeltre, zatrzymał się i rzekł:

— Na tem kończę moje objaśnienia. Widzieliście państwo już wszystko. Złożyliście już swą daninę podziwu dla tego zamku, będącego tak wymownym świadectwem świetnej zamierzchłej przeszłości, jakoteż blasku Sforzów i Borgiów. Daninę zaś, jaką złożycie mnie osobiście, pozostawiam do waszego uznania, gdyż datki stanowią jedyną źródło mojego utrzymania.

— Do licha! — rzekł do swego sąsiada pan Arwed Döring, gdy inni członkowie tego towarzystwa pośpieszyli złożyć w otwartą rękę starego, niedbałe ubranego przewodnika napiwek, odpowiadający dostojnie z zamku Montefeltre. — Nie mam wcale drobnych. Mam tylko 20 lirów a to przecież za dużo.

Nie każdy lubi wykladać za kogoś napiwki. Dobrze się przeto złożyło, że i Bruno Bokelmann, wynagrodziwszy Castellano od siebie nie znalazł więcej drobnych w portmonetce. Arwed Döring niezdecydowany obracał w rękę swój banknot dwudziestolirowy.

— Co się tego tyczy — rzekł kasztelan, którego oka nie uszedł ten ruch, ani wahanie — jestem chętnie gotów, zmienić to na drobne, signore. Ale przedtem pozwolę sobie pokazać panu coś osobliwego, czego nie mogę pokazać każdemu.

— Cóż to jest?

— Coś straszliwego — odparł Castellano. Rzesza turystów oddaliła się. — Czy pan słyszał o losie pięknej Isotty?

— Niente!

Stary skinał głową. Dwudziestolirowy banknot Arweda znajdował się już w jego ręku.

— Chodźcie, panowie! — Zabrzęczały klucze. — Mamy wejść tylko na dwa piętra.

— Chodzi tu o szafę, pochodzącą jeszcze z czasów potężnego i męznego Malatesty. Tedy z czasów około roku 1278. W niej miała się rozegrać straszna tragedia. Bliższe szczegóły podawano sobie naówczas z ust do ust, a czem dalej przenikały, tem bardziej przyozdabiała je fantazja ludu w legendarne dodatki. Widzicie panowie, oto stoimy przed szafą.

— Otwórz ją pan!

Castellano potrząsnął głową.

— Niepodobna! Żaden klucz nie pasuje. To jest sekretny zamek, którego tajemnicę ostatni, rezydujący tutaj członkowie rodu Malateste zabrali z sobą do rodzinnego grobu.

— Właściwie ta szafa nie wygląda wcale na tak starożytną — zauważył Arwed Döring, bardzo rozczarowany.

— Dobry towar jest wytrzymały, signore. Zresztą, ta szafa musiała być już bardzo stara, gdy obok w sali bankietowej od-

bywało się wesele pięknej Isotty. Gdyż to jest szafa Isotty. Pozwólcie, panowie, iż bym wam opowiedział tę historję.

— Tylko krótko — poprosił Bokelmann.

— Gdy Veruccio z rodu Malatesta poślubił piękną Isottę — rozpoczął Castellano — sprawił jej wielki ból. Gdyż comessa kochała biednego szlachcica, imieniem Vittorino Giusto. Podczas uczty weselnej która zaprawiała gorzkimi łzami, zniknęła w tej komnacie, gdzie chciała czekającemu na nią Vittorino, dać ostatni pocałunek.

— Acha! — zauważył Bokelmann, któremu jako berlińczykowi nie ludzkiego nie było obcem — teraz już wiem, co nastąpi! — Gałką swej laski wskazał na szafę.

— Si, si! — skinał głową Castellano. — Zdawało im się, że ktoś nadchodzi. W przestraszeniu chcieli chwycić za klamkę drzwi, ale natknęli się na rozetkę, która otwierała starą szafę. Weszli do niej, drzwi się zatrzaśnięły — i —

— „Nie ujrysz już konia, ni jeźdźca! — uzupełnił Bokelmann.

— Przynajmniej już nie przy życiu — zgodził się Castellano. — Skoro Veruccio przeszukał zamek i całą okolicę, nie mógł wierzyć inaczej, jeno że anioł uprowadził mu małżonkę do nieba.

— Wierząca dusza...

— Dopiero po upływie roku przypadek przyniósł rozwiązanie zagadki. Było straszne. Otworzono szafę...

— Już wiem! — rzekł Bokelmann. — Wówczas znaleźli dwa szkielety. Para kochanków zmarła z głodu w tej szafie.

— Tak sądzono. Było tak, jak pan odgaduje. Myślano zupełnie tak samo. I szkielety znalezione również.

— A więc, dlaczegoż to wyobrażano tylko, że rzecz tak się miała?

— Był haczyk w tej sprawie — rzekł Castellano tajemniczo, a głos jego poniżył się do szeptu. — Szkielet podobno nie był prawdziwy.

— Nieprawdziwy? Jakże to?

— W sześćset lat później wykopano ich znowu, a wtedy jakiś uczony profesor z Bolonji dowiódł niezbicie, że były to szkielety dwóch małp...

— Ależ skądże się tam wzięły?

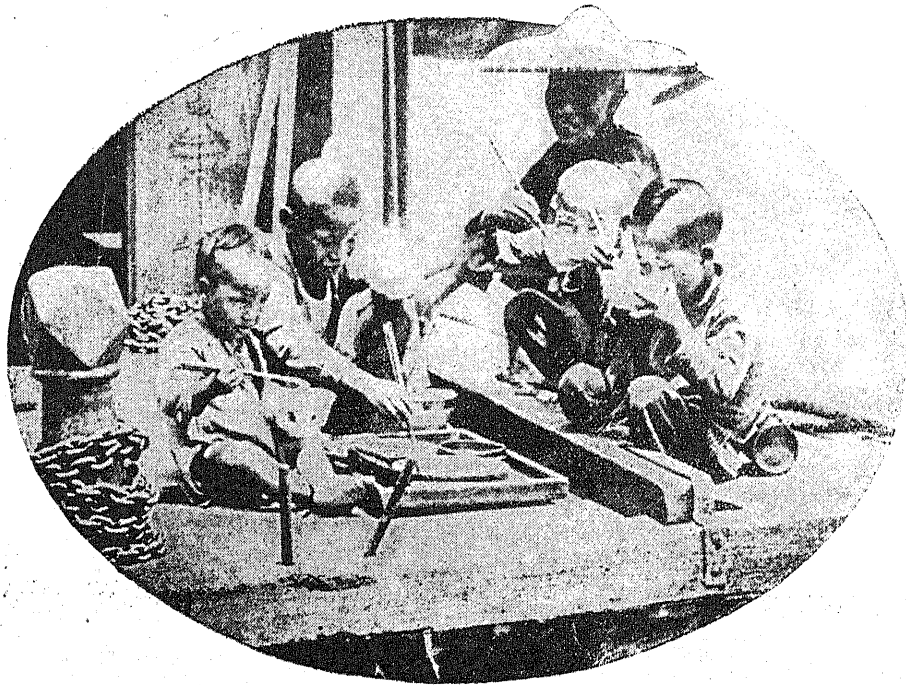
Castellano wzruszył ramionami. — Ja ułożyłem sobie wyjaśnienie tej sprawy. Wiecie, panowie, jak ja sobie tę rzecz przedstawiam? Myślę sobie, że kochanek pięknej Isotty wpakował do szafy zdechłe małpy, aby wyprowadzić w pole swego rywala. Veruccio. Zaś on sam z kochanką zmienił to więzienie na lepsze.

— Czy to możliwe? — zdumiał się Alfred Döring.

— Wiele rzeczy należy uważać za możliwe — westchnął Castellano. — Mnie się zdaje, że Vittorino Giusto był w tem szczęśliwym położeniu, że zmienił to więzienie na wolność. Ja sam z pewnością nie jestem w tem szczęśliwym położeniu...

— W jakim? — spytała obaj zwiedzający jednocześnie.

— By wam zmienić te 20 lirów, panowie. Natomiast wy, panowie — możecie wyjść na wolność przez te małe drzwi czki bezpieczeństwa.



Chińska idylla w pływającym domku.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok V.

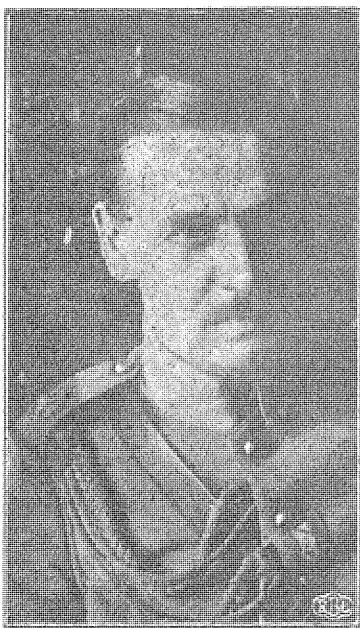
Niedziela, dnia 25 listopada 1928 roku.

Nr 48

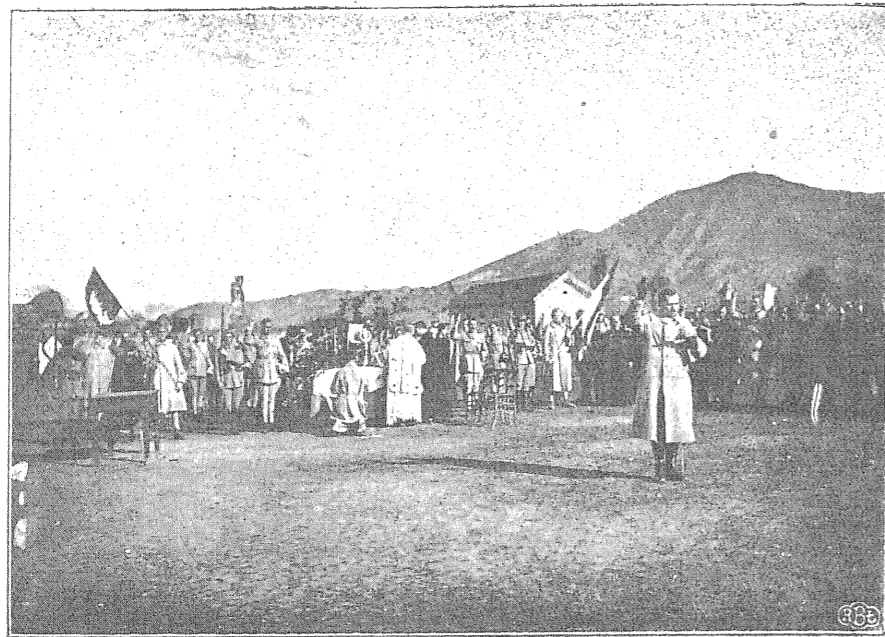
„Ksiądz Marek” na scenie Teatru Miejskiego.



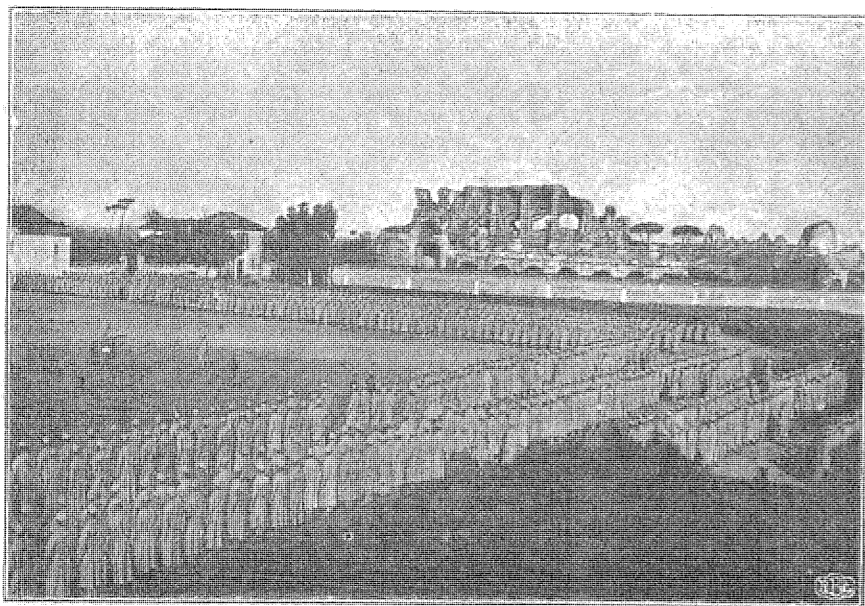
Teatr Miejski w Łodzi wystawił na swej scenie w rocznicę 10-lecia niepodległości Polski „Księdza Marka” — poemat dramatyczny w 3-ich aktach Juliusza Słowackiego. Na zdjęciu widzimy fragment jednego z aktów z księdzem Markiem i Judytą. W roli ks. Marka — p. Karol Adwentowicz, p. Horecka, jako Judyta.



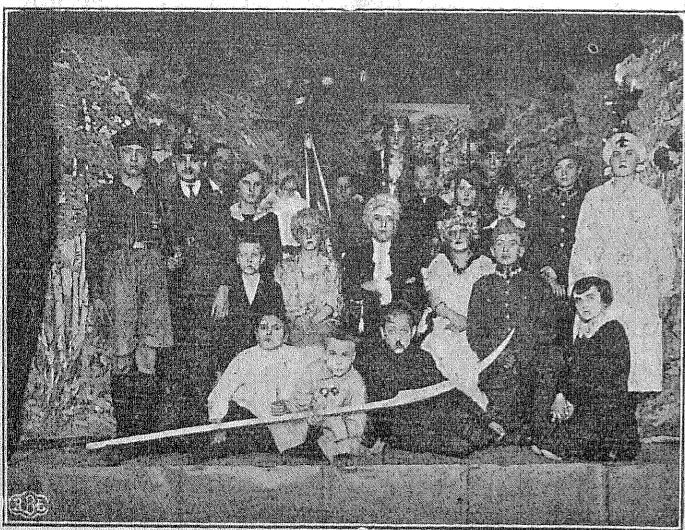
Jeden z organizatorów armji polskiej na ziemiach włoskich. pułkownik rezerwy p. M. Dienstl-Dąbrowa.



Zaprzysiężenie oficerów i szeregowych polskich pułków im. gen. Dąbrowskiego i Kościuszki w Capui, dnia 30 listopada 1918 r.



Pierwszy przegląd pułków polskich im. gen. Dąbrowskiego i Kościuszki, dokonany w dniu 30 listopada 1918 r. w Capui pod Neapolem.



Uczniowie szkoły głuchoniemych w rocznicę 10-lecia Niepodległości. Powyżej fragment przedstawienia amatorskiego.

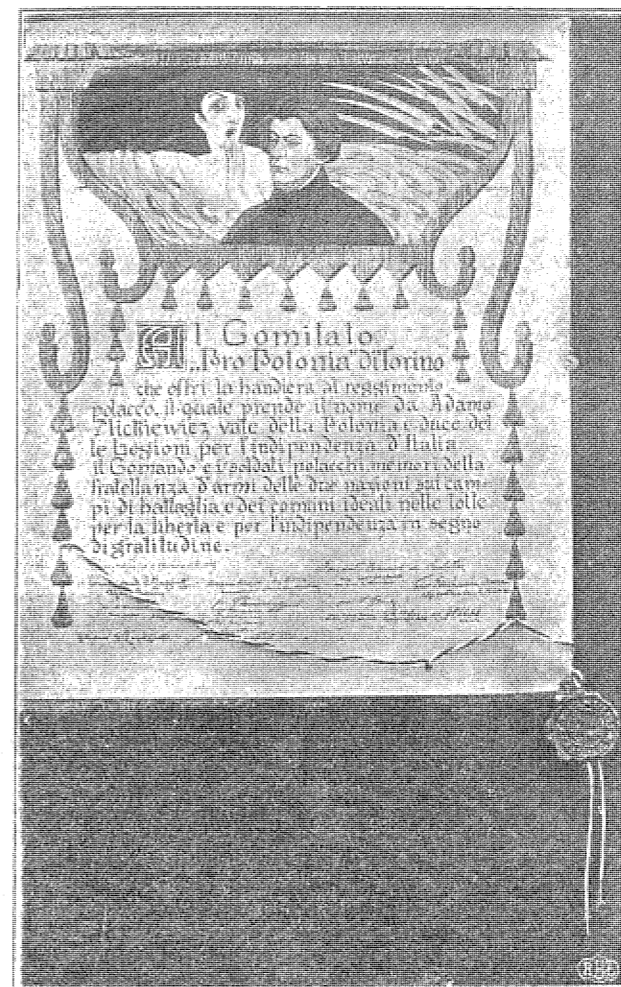


Przed bramką. Ciekawy moment na jednym z meczów piłkarskich w Łodzi. Fot. A. Meyer

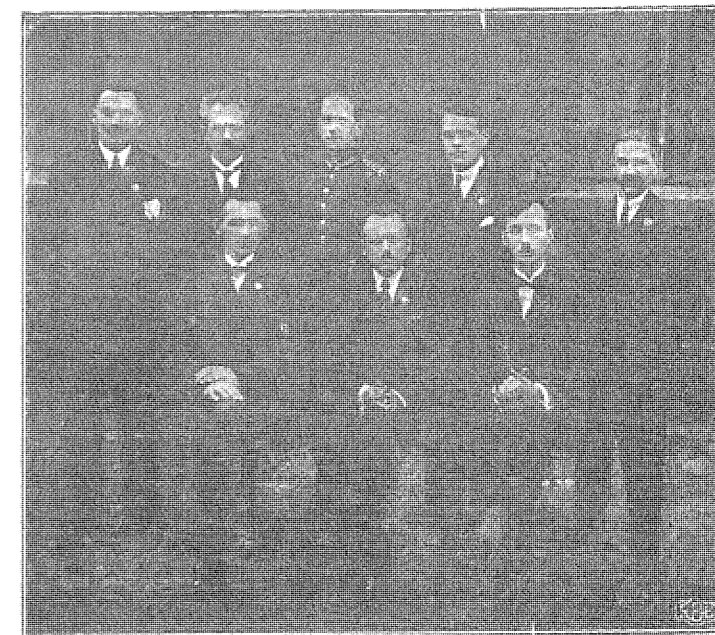
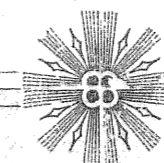


RUPERT JULIAN

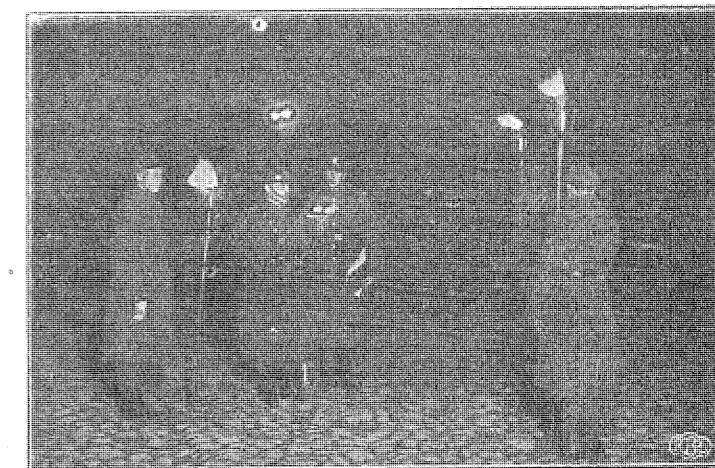
jeden z najzdolniejszych reżyserów, współpracownik słynnego Cecil de Mille'a.



Dyplom dziękczynny wydany za ofiarowanie sztandaru pułkowi polskiemu im. Adama Mickiewicza, zorganizowanemu we Włoszech w roku 1918.



Czterdziestolecie Towarzystwa Śpiewaczego „Harmonia“ w Łodzi. Powyżej członkowie zarządu jubileuszowego z prezesem, p. B. Sosnowskim, na czele.



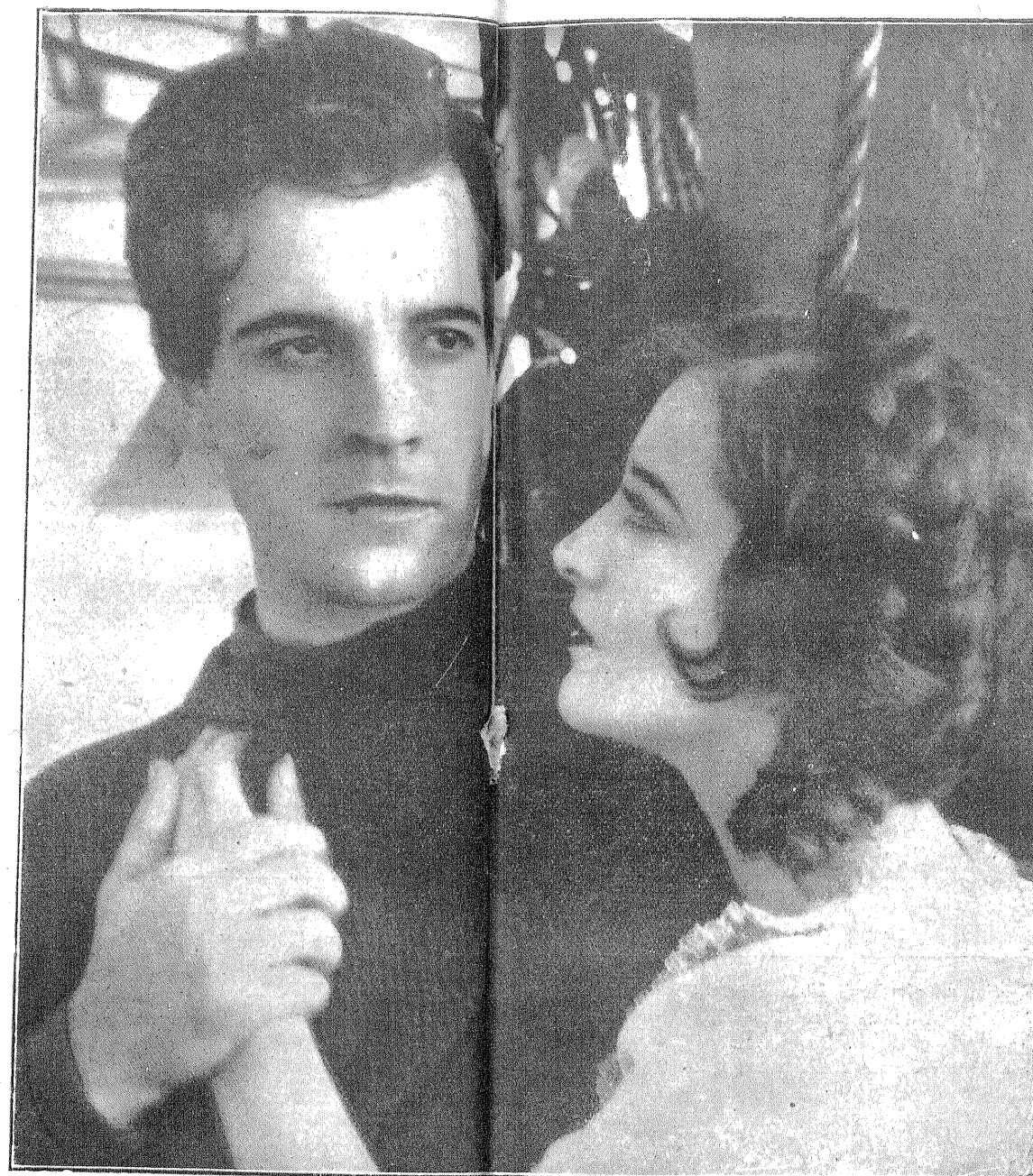
Uroczysty apel poległych żołnierzy 29 p. Strzelców Kaniowskich w Kaliszu. Odczytywanie nazwisk poległych.



W dniu 15 b. m. odbył się w Łodzi pogrzeb ofiar potwornego morderstwa, ś. p. małżonków Marii i Bronisława Tysszerów, których pasmo życia przecięła zbrodnicza dłoń młodocianego przestępcy, Stanisława Laniuchy. Powyżej od strony prawej kondukt pogrzebowy, na lewo zaś eksportacja trumien na starym cmentarzu katolickim. Fot. A. Meyer.



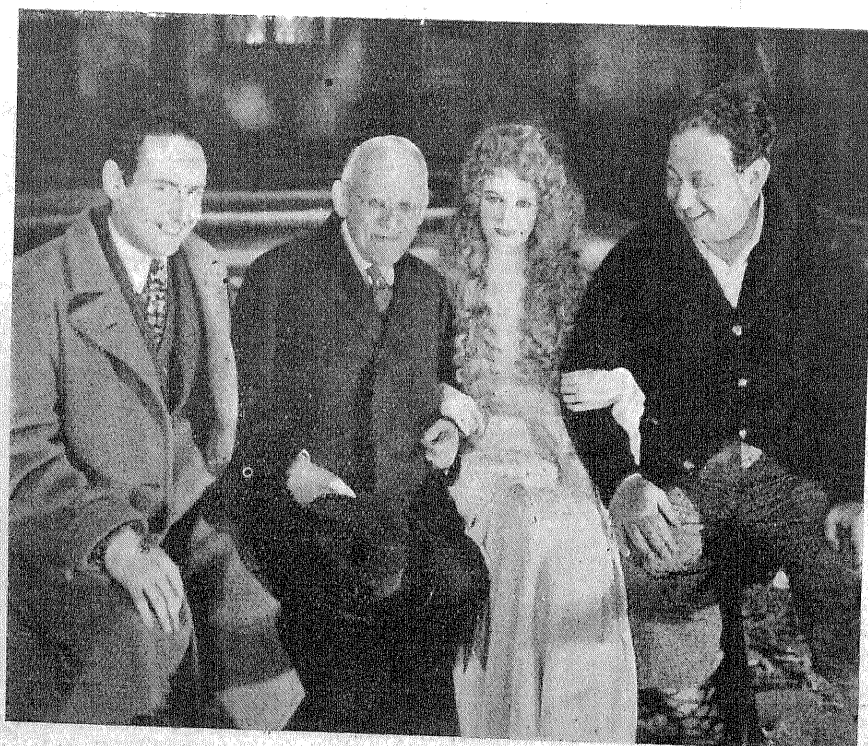
Marja Malička, artystka ekranu i sceny polskiej, kreująca „Dzokuskę”.



Ramon Novaro i Jean Crawford w potężnym dramacie morskim „Jad miłości” (Tragedia w Singapurze) wytwórni Metro-Goldwyn.



Odtwórczyni tytułowej roli w filmie „Wiera Mircewa” niezrównana tragiczka ekranu, Marja Jacobini. Film ten wyświetla kinoteatr „Splendid” w Łodzi.



Realizacja filmu p. n. „Człowiek śmiechu”. Siedzą od lewej do prawej: Conrad Veidt, Paweł Leni, Mary Philbin, prezes Laemmle, junior.



Lars Hanson w filmach „Boska kobieta” i „Jackie marynarzem”. bohaterka filmu p. „Godzina flirtu”.



MARIE REVOST



Norma Shearer w filmach „Aktorka”, „Grzech nieci” i „Kobieta a interes”.



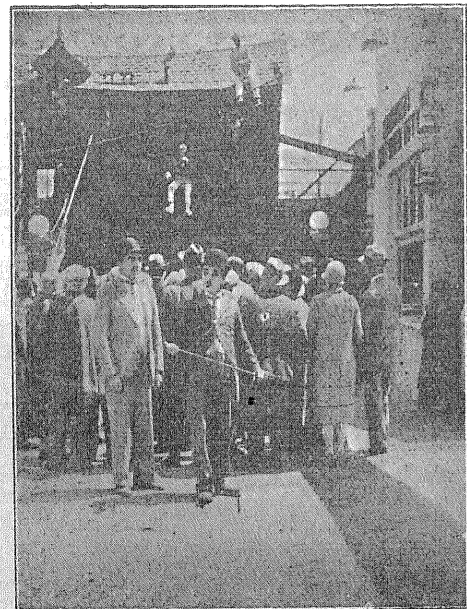
„Człowiek śmiechu” Victora Hugo, zrealizowany został przez Pawła Leni dla filmu. W rolach głównych Conrad Veidt, Mary Philbin i Olga Bahnomowa.



Światowej sławy gwiazda filmowa, rodaczka nasza Pola Negri.



Odczyt płk. Ulrycha na akademii 29 p. Strz. Kan. w Kaliszu z okazji 10-lecia Niepodległości Polski.



Cyrk „Chaplin'a”.



Uroczem zjawiskiem na srebrnym ekranie będzie „Dzikuska” z Marią Malicką i Zbyszkim Sawanem w rolach popisowych.



Billie Dore i Clive Brooke w ślicznym obrazie filmowym p. t. „Złota lilja”.



Idylla w gaju chryzantem. Japoński chłopiec i rówieśniczka jego w strojach narodowych w czasie wspólnej zabawy.



Laura La Plante, ulubiona artystka komedjowa.



Bohater sztandarowego filmu polsko-francuskiego p. t. „Miłość i lzy Szopena”, Pierre Blauchard w roli wielkiego polskiego miłośnika tonów, Szopena.



Pete Morrisson, bohater amerykańskich filmów sensacyjnych w swym charakterystycznym stroju cowboy'a.



Toaleta indyjskiego infanta.

NORBERT JAQUES.

Kwiaty w Funchalu.

Znajdowaliśmy się w powrotnej drodze z Brazylii. Pani Małe zauważyła dzisiaj:

— Jedyna rzecz, której mi brak na okręcie, to kwiaty.

Kłose odpowiedział rozmarzonym głosem:

— Dziś wieczorem zenwę dla pani kilka gwiazd.

— Ostatnich południowego nieba — odparła elegijnie.

Tegoż dnia zbliżaliśmy się do Madery, zwiastuna Europy. O zmroku półkole wyspy osnute było czarnymi chmurami. A gdy o jedenastej wiecz dopływaliśmy do portu Funchal, góra piętrzyła się nad morzem w krystalicznej czerni. Światła latarni błyszczały jak klejnoty na potężnym ciele ciemnego kamienia. Jakgdyby czyjaś czardziejska wola ułożyła je na brzegu we wspinałką agrafę. Potem wity się z obu stron w długich łańcuchach, zdobnych tu i ówdzie w świetliste ornamenty, by wreszcie w kilku rzędach wspiąć się prosto na stoki góry, w ciemność niezamieszkałych regionów i nocnego firmamentu. I zdało się, że krystaliczna wyspa z diademem światła Funchalu leży w ciemnym błękicie tej błyszczącej mocy, jak w kosmicznym futerale.

Okręt musiał załadować węgiel. Kapitan obdarzył nas czterema godzinami nocy w Funchalu. Na barce, która nas przewiozła na ląd, tłoczyło się około siedemdziesięciu osób. Ja stałem obok swego przyjaciela. Stenik złościł się, że nic nie widzi. Ale ja widziałem, że duże oczy pani Małe nie były wpatrzzone w ten cud skrzęcający się światłami, ale w ocean niby w bezdroże tęsknoty.

— Kłose — rzekłem do przyjaciela — pani Małe dostanie dziś swoje kwiaty.

Odpowiedział mi aforyzmem o związku pomiędzy urwodzielskim czarzem, a prawem pięknej kobiety do wypowiedzania żądań. Był istotnie bardzo łagodnie usposobiony dzisiejszego wieczora. Ale jakże mogło być inaczej. Po czternastu dniach najsamotniejszej pustyni wodnej, obdarzył nas kapitan czterema godzinami świetlanej mocy miasta, które czekało na nas, jakby zagrożone w zaklętym śnie.

— Życzymy pani pięknej mocy w Funchal! — zawołałem do pani Małe, gdy rozeszliśmy się na wybrzeżu. Kłose i ja odzieliliśmy się od grona podróżnych, które wargnęło do pograżonego we śnie nadatlantyckiego miasta. Pozostaliśmy sami. Wzdłuż wysoko obmurowanego łożyska górskiego potoku, który przez środek miasta z wysokości 2000 metrów niesie do morza wodę i kamienie, wspinaliśmy się nadaremnie w poszukiwaniu kwiatów dla p. Małe.

Kłose czynił uwagi o roli samotnych nocy w niemieckiej poezji, przeplatane cytami z Goethego, Greifa, Dehmela, by skończyć aforyzmem o roli takich nocy w kawalerskim życiu w Jüteborgu. Gdyż mia-

sto to było miejscem jego zamieszkania. Powiedział:

— Jeśli panu się zdaje, że noc w Funchalu jest bardziej romantyczna, niż w Jüteborgu, to oddaje się pan złudzeniu, zgola nieprzystojnemu dla powieściopisarza.

— Wiem, do czego pan zmierzasz — zawołałem urażony.

— Do diabła, na tej podzwrotnikowej wyspie nie znajdziemy oczywiście kwiatów dla p. Małe. W Jüteborgu można by przynajmniej dobić się do kwaciarni.

Byliśmy obaj przygnębieni. Ale wszystkie domy były ciemne i zamknięte. Noc była zbyt czarna i warunkami dla nas zbyt obce, aby przez plot przedostać się do jakiegoś ogrodu. Jednakże bynajmniej nie zarzuciliśmy tej myśli i w poszukiwaniu ogrodów wspinaliśmy się coraz wyżej wgłąb miasta.

— Tam na górze — rzekłem — przypominam to sobie dokładnie, na murach rosną fiksje, a z śmieciników wylaniają się kalle.

Aforyzm o sprzeczności pomiędzy fantazją a rzeczywistością u poetów był odpowiedzią ze strony Kłosego.

Odparłem spokojnie:

— Zdaje mi się, że w Jüteborgu noce są osobliwsze, niż dowiecip.

— Przepraszam — rzekł dobrodusznie.

Nagle stanęliśmy przed murem domu. Nie było w nim okien, tylko jedne drzwi. Ale te były otwarte i oświetlone. Pośpieszyliśmy ku temu otworowi. Wówczas z domu wybiegł człowiek, potracił mnie, potknął się nieco, gdyż był mocno obciążony i pobiegł dalej.

Wydałem okrzyk:

— Kochany Kłose, czym on był obciążony? Czy pan widział czym?

Ale człowiek uciekał. Pobiegliśmy za nim.

— Spera, spera mu momento! — wołałem i pędziłem co tchu. Gdyż chłopak dźwigał dwa kosze, przepelnione kwiatami. Biegł po gładkim żwirze, jak ławica. My za nim.

— AQUI! AQUI! — ryczałem.

On krzyczał w odpowiedzi:

— No, no, Senhor! Sierra Ventana! — i pomknął w wąską uliczkę.

Sierra Ventana, to był nasz okręt. Umknie nam. Przewiezie swe kwiaty na okręt, za którymi przeszukaliśmy całe miasto, a gdy powrócimy na statek, pani Małe będzie spoczywała na kwiatowym łożu, a my, nie chcąc stanąć przed nią z zupełnie gołymi rękami, będziemy mogli jej przynieść kamyczek z górskiego potoku.

Wówczas wdał się w to Kłose i to w dosadnej niemieczyźnie. I stał się ciud, że chłopak się zatrzymał. Podeszedł do nas, mrugnął ku nam oczyma i zaczął się tłumaczyć, że irwał nas za tuziemców.

...Odkupiliśmy od niego wszystkie kwiaty. Gwiżdząc wesoło, zaczął znowu wspiąć się w górę ze swymi próżnymi koszami. Kwiaty leżały na bruku.

— Czy uniesiemy wszystkie? — pytałem.

— A jakaż to jest miłość? — rzekł Kłose. Były to płomienne kosacce, białe, uroczyste kalle i czarno-czerwone róże na długich łodygach.

Nędzna latarnia uliczna oświetlała ten stos kwiatów. Ale zdawało się, że gwiazdy rzucają na nie swe promienie.

— Ja biorę czerwone kwiaty! — postanowiłem sobie w duchu. Było ich tyle, że należało je łączyć oburącz. Byłem jeszcze całkowicie pograżony w zachwyocie, a Kłose już klęczał na ziemi. I odezwał się nagle:

— Te białe, śmiertelne kwiaty trzeba było pozostawić. Te możesz pan przynieść pani Małe, ja biorę czerwone.

Już powstał z ziemi a naręcz róż i kosacców, moich czerwonych kwiatów była tak wielka, że zasłoniła twarz jego. Nie mogłem go zważyć pięściami — o wybacz mi, pani Małe! — i obładowałem się w taki sam sposób uroczystym kwiatem kalle.

Jakieś auto przemknęło jak wicher wśród ulicy. Usunęliśmy się pod mur. Światło latarni zabłysło na snopach naszych kwiatów, poza którymi ikryły się maszły głowy. Usłyszeliśmy głos... jak okrzyk radości, przytłumiony pożądaniem: „Kwiaty“.

...Znajomy głos. Głos pani Małe, ponawny zawrotną szybkością samochodu...

Uginając się pod upragnionym brzemieniem, zesłaliśmy do dolnej części miasta. Mielśmy nadzieję, że skapana w słońcu gleba Madery przewala się na naszych ramionach. Duża kawiarnia na brzegu została otwarta. Siedziało tam wielu podróżnych z Sierra Ventana.

— Kwiaty, kwiaty! — krzyczeli wszyscy i otoczyli nas kołem. Ponieważ ręce nasze były zajęte kwiatami, broniliśmy naszego skarbu nogami i osunęliśmy się przy jednym ze stolików na wolnym powietrzu. Kazaliśmy sobie podać starego wina z Madery, które smakowało jak ogień zmieszany ze złotem. Jego zapach pomieszał się z zapachem naszych kwiatów i uderzył nam do głowy. Mielśmy przed sobą oświetlony okręt Północnego Lloyd'a, leżący przed nami jak białe zamocysko, które miało potem unieść z tego świata nas, tę kobietę i te kwiaty.

Godzina szalonej, uroczej legendy wybiła. Baśń o północy! Zdawało nam się w tej niespodzianej przerwie w naszej podróży, że świetlana, rozkochana w barwach Madery leży na morzu niby most pomiędzy dwiema częściami świata. Kołysząc się na tym moście, powracaliśmy z upojonego marzenia do umiarkowanej rzeczywistości.

Tak, przez te cztery godziny nocy Funchal było mostem, na którym przelotny świetlany kiermasz nocny mamili nas pośród dwóch szerokości geograficznych i gdzie żegnał nas płomienisty kraj podzwrotnikowy.

Duże oczy pani Małe blaskiem swym walczyły o lepsze z blaskiem kwiatów, które na okręcie rozsypaliśmy dookoła jej drobnej postaci.

Tłum. E.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”

Rok V.

Niedziela, dnia 2 grudnia 1928 roku.

Nr. 49.

Łódzkie Towarzystwo Zwolenników Gry Szachowej.



W dniu 24 ub. m. Łódzkie Towarzystwo Zwolenników Gry Szachowej święciło 25-lecie swego istnienia. Rocznica ta uczczona została m. in. zorganizowaniem meczu międzymiastowego Warszawa—Łódź. Na zdjęciu powyższym zbiorowa grupa członków z zarządem towarzystwa na czele.

Fot. A. Meyer.